ROZMAITOŚCI.

Dnia 13. Stycznia Nr. 2. Roku 1844.

AMMALAT BEG.

(Ciąg dalszy.)

Achmed podźwignął rannego na siodło, trzymając go jedną ręką, drugą ujął za cugle. Tak prowadził konia krętemi ścieżkami po-nad przepastne urwiska przez odwieczne lasy. Nareszcie dostali się w pobliże wsi Aki; jeden tylko pagórek przedzielał ich jeszcze od Kunzakh, gdy oto pada strzał, którego się odgłos rozległ széroko i powtórzył o góry. Podróżni wstrzymali się w kroku; Khan tém cokolwiek zdziwiony, rzekł do swego towarzysza: »To będą nasi na łowach.«

Lecz w téjże chwili pada strzał znowu, a po nim strzałów więcéj.

»To są Rosyjanie!« zawołał Ammalat zeskakując z konia. »Sułtanie Achmedzie spiesz twojemu ludowi na pomoc! Widok twego oblicza stanie mu za sto wojowników.«

Khan zaledwie dosłyszał słów Ammalata, milcząc przychylił głowę i nadsłuchywał, jak gdyby chciał rozeznać: czy te wystrzały pochodziły z samopałów rosyjskich czy téż awaryjskich.

»Jako, mieliżby Rosyjanie dostać skrzydeł u orłów a nóg od kóz dzikich, że się aż w nasze wdarli góry?« rzekł Achmed Khan kładąc nogę w strzemię. »Bywaj zdrów Ammalacie, idę ginąć na gruzach mojego państwa!«

W téjże chwili kula zaryła się w ziemię tuż przed jego nogami. Achmed wydobywszy ją i oglądnąwszy, rzekł z uśmiéchem do Ammalata: »Siadaj znowu na konia, a wkrótce własnémi oczy ujrzysz rozwiązanie téj zagadki. Kule rosyjskie lane z ołowiu, a ta jest z miedzi, więc to nasi strzélają... Wreszcie strzał wypadł od południa, a tam Rosyjanie w żaden sposób jeszcze być nie mogą. —«

Podróżni dostawszy się na górę, ujrzeli dwie wsi przedzielone głębokim wądołem, zkąd się huk wystrzałów rozlegał. Górale po obojéj stronie rozłożystego parowu dając z-po-za krzaków i skał ognia, rozstrzygali zaszły między sobą spór kulami. Po przestrzeni rozdzielającéj walczących, biegały kobiéty pośród kul, to dając pomoc rannym, to kładąc śród wrzaskliwego krzyku wały z kamieni.

Khan wpatrzywszy się przez chwilę w tę zamieszkę, rzekł z spokojném obliczem do Ammalata obojętnie: »Biją się, i zapewne o coś zwyczajnego, o skradzioną krowę lub coś podobnego. Prawie co dzień zdarzają się takie potyczki; jakkolwiek są one naganne, jednakże w tym względzie skuteczne, iż utrzymują wojennego ducha naszych górali. U was, u Tatarów, sztylet rozstrzyga kłótnię domową, u nas zaś, cała wieś staje na stronie obrażonego. Nie warteż nasze kobiéty podziwienia! Nie sąż one godnémi żonami takich wojowników! Nie mająż synowie takich matek słynąć lwiém sercem i waleczném ramieniem?... Lecz noc się zbliża, a ta walka wkrótce ustanie.« —

Podróżni puścili się w dalszą drogę; noc stawała się coraz ciemniejszą; silne ramię i wprawne oko Khana, wiodło bezpiecznie po-nad przepaście znużonego Ammalata, który opadłszy na siłach, snem niemocy owładnięty, zaledwie postrzegł na wzgórzu strażnicę domu Khana, przed którą stanęli. Musiano go zdjąć z konia, nie zdołał postąpić, nogi się pod nim łamały, bladość okryła jego lice, prawie bez życia padł na ziemię. —

III.

POLOWANIE.

Z brzaskiem dnia opamiętał się cokolwiek Ammalat; jakby przez mgłę przypomniał sobie przygody dnia wczorajszego; jakieś przyjemne omdlenie owładnęło całą jego istotę; półsenne marzenie kleiło mu powieki. Około południa, po odwidzinach lékarza, oddalili się wszyscy domownicy, i tylko w odległości głos Mullaha, zwołujący do modlitwy, przebijał się przez powszechną ciszę. Gdy się już wszystko zupełnie uspokoiło, Ammalat słyszy jakieś lekkie stąpanie po kobiercu, otwiéra snem ociężałe powieki,

widzi przed sobą dziewicę w spodniach błękitnéj barwy, w arkhaluku z materyi złotéj z dwoma rzędami wyzłacanych guzików. Młoda dziewica przystąpiwszy do łoża, opatrywała ranę młodego wojownika z takim wyrazem czułości, że zdało mu się: iż czuł wszystkie jéj nerwy, które drzały — jak drzy lutnia trącona silnym powiewem wiatru! Po tém wpuściła w puhar kilka kropel płynu z flaszeczki, które z sobą przyniosła, potém — potém już nic nie widział. Oczy chorego zamknęły się znowu, lecz szelest jedwabnéj sukni głaskał słuch jego jak lekki szum skrzydeł anioła ulatującego w nieba! Ile razy dusza chorego chciała sobie rozjaśnić to senne widzenie, tyle razy gubiła się w rozwiejnych jak mgła marzeniach. Tą czarującą istotą była szesnastoletnia córka sułtana Achmeda. U górali mimo zakazu Mahometa, mają kobiéty wiele swobody nim zamąż pójdą. Córka Khana była swobodniejszą od innych dziéwcząt, bo ona była mu źrenicą oka, przy niéj zapominał o troskach życia, jéj spojrzenie gasiło błyskawicę gniewu jego. Seltanetta była mu wszystkiém na tym świecie i mieszkała w sercu jego. Cicho i spokojnie jak podziemny strumyczek, płynęły jéj dotąd po kwiatach pląsające strugi życia, miłość śniła dotąd w jéj sercu, jak śni kwiatek w obsłonce pąkowia!

Seltanetta ujrzała wtedy po raz piérwszy cudzoziemca gdy wybiegła na powitanie ojca z otwartémi ramiony. Bladość na twarzy młodzieńca upadającego na ziemię, nabawiła ją przestrachem, a gdy się od ojca dowiedziała o jego przygodzie, serce jéj przejęło się żalem. Noc całą przepędziła bezsennie, blada twarz krwią zbroczonego młodzieńca, stała jéj ciągle przed oczyma, jutrzeńka zastała ją po raz piérwszy bladą, unużoną. Aby ujrzéć oblicze chorego, raz weszła do jego komnaty pod pozorem zadość-uczynienia powinności powitania gościa, drugi raz wemknęła się niewidziana w czasie modlitwy. Jakieś niepojęte uczucie, jakaś niezbadana siła porywała ku niemu jéj duszę. A gdy wieczorem jéj oko spotkało się z mdlejącém młodzieńca spojrzeniem, które zdawało się mówić: »O, nie zachodź gwiazdo mojéj duszy!« wtedy jakby jakiémi czary oczyniona, nie mogła oderwać swoich od czarnych oczu Ammalata Bega.

Niepojęto, dziwno było w jéj duszy, zaledwie śmiała zapytać chorego głosem drzącym: jak się ma zdrowie jego. Tylko Tatar, tylko Muzulmanin, który nigdy nie widział równéj mu godności kobiéty bez zasłony, może pojąć to uczucie, jakiém zapłonęła dusza młodzieńca na widok czarującego spojrzenia piękuéj, jak huryski raju, dziewicy wkradającéj się do duszy anielskim głosu dzwiękiem!

»Błogo mi,« mówił z rozczuleniem młodzieniec, »tak mi błogo, iżbym rad, aby mi tak wiecznie było, lub abym w téj chwili umarł!«

»Ałłah z tobą!« odrzekła z serdeczną czułością dziewica. »Żyj, żyj w długie, długie lata!«

»O jakże jest słodko w tak błogéj chwili umiérać!«

Młoda dziewica nie zrozumiała chorego, lecz jéj serce zrozumiało wymowę oczu i wyraz głosu, a jéj lice spłonęło szkarłatnym rumieńcem. —

Ammalat Beg zdrowiał spojrzeniem i obecnością góralskiéj księżniczki więcéj, niż skutkiem ziół i oglednèm zawijaniem rany; z każdym dniem wzmagały się jego siły; a razem z niémi wzmagała się miłość do Seltanetty!

Młody Beg był żonaty, lecz w te związki wszedł był tylko dla widoków, jak się to często na Wschodzie dzieje. Przed połączeniem się nie znał swojéj żony, a gdy ją poznał, nie znalazł w niéj nic, coby uspione w niém uczucie rozbudzić zdołało. Późniéj żona jego ociemniała, to zwolniło jeszcze bardziéj ogniwa małżeńskie, nie spojone wzajemną miłością. Nakoniec niesnaski między młodym Begem a jego szwagrem Shamkhalem, ostudziły do reszty przywiązanie małżeńskie. Serce Ammalata nie wiązane żadną pamiątką, ani żadném wspomnieniem, nie znało równie jak serce Seltanetty uczucia miłości, tylko z nazwiska. Bez niéj tęsknił i wzdychał, przy niéj upajał się nadziemską rozkoszą!

Ciągle prawie bywali razem z sobą; Khan wyjeżdżał często, i polécał swojéj żonie, aby bawiła gościa. Miłość Ammalata nie uspiła jego czujnego oka; połączenie się jego domu z prawym następcą Shamkhalatu, pochlebiało jego dumie; jego zemsta kuła już za pomocą tego związku, tysiące mieczów na zagładę Rosyjan.

Khanska (żona Khana) po całych dniach domem zajęta, dozwalała młodéj parze rozmawiać z sobą całémi godzinami. Seltanetta w gronie swoich służebnic siedząc na poduszkach kobierca, nie uważała nawet, jak godziny w rozmowie z urodziwym Ammalatem prędko mijały! Często jak zgaszony piorun leżał u jéj nóg nasz młody bohatér, słowa skonały mu na ustach, cała jego dusza wbiegła mu w oczy i w niemym podziwie na licu ubóstwionéj zawisła! Czyste jak powietrze szczytów kaukazkich płonęło w nim uczucie przy niewinnéj istocie, któréj serce dopiéro pierwszém zaraniem miłości błogo rozgrzéwać się zaczęło. Przeszłość i przyszłość ubieżała mu z pamięci, w nią się wpatru-

jąc, widział otwierające się niebal — Tak mu jeden rok upłynął.

Awaryjczykowie, jestto lud wolny, nienawidzący wszelkiego zwierzchnictwa. Nie ma 120 lat, jak byli jeszcze Chrześcijanami, dla tego natrafić u nich można na wiele śladów religii chrześcijańskiéj. Teraz są oziębłymi muzułmanami, piją gorące, warzone napoje. Otwartość ich poszła w przysłowie. Nie kryją ani swoich córek, ani żón swoich, są gościnni, uprzejmi, życzliwi i gotowi życie własne poświęcić za gościa swego. Zemsta jest u nich świętym przekazem z ojca na syna. Zrabować plemię jakie, któreby z nimi w jakimkolwiek względzie szło w spółzawodnictwo, jest u nich czynem sławy, czynem zaszczytnym. Khan ma prawo rozkazać nukierom swoim zamordować sztyletem tego poddanego, któryby gniew jego ściągnął na siebie, ale nie ma prawa nakładać daniny; to tylko jest jego własnością, co mu niosą trzody, stada i pola uprawiane przez niewolników lub jeńców. Kto ma jąką do Khana prozbę, nie śmié podług zwyczaju azyjatyckiego domagać się posłuchania, nie przyniosłszy z sobą jakiego podarku, choćbyto było jaj kilkanaście. Najznakomitsi Awaryjczykowie i goście Khana: Czeczeńcy i Tatarzy, pozdrawiają go co rana, a potém udają się do Khanski, jego małżonki.

Pewnego dnia stawił się przed Khanem na powitanie *uzden* (pan) z Awaru i opowiadał: że nie daleko od siedziby Khana, pokazał się tygrys, który już dwóch najlepszych w całym kraju strzelców rozszarpał. »Wypadek ten« rzekł, »takim przestrachem przejął naszych strzelców, że żaden nie ma teraz odwagi mierzyć się z kłami tego rozjadłego zwierzęcia.«

»Kiedy z niém sprawa tak niebezpieczna, więc rzecz warta, abym doświadczył;« rzekł Ammalat, pragnąc dać góralom dowody swego męztwa. »Wskażcie mi jeno ślad jego.«

Awaryjczyk olbrzymiego wzrostu zmierzył go okiem od stóp do głowy i rzekł z uśmiéchem: »Tygrys gór kaukazkich nie jestto dzik z Daghestanu, trop jego często na śmierć prowadzi.«

»Alboż żądam twojéj pomocy?« odparł młody Beg z dumą, »ale, jeżeli zechcesz, możesz być świadkiem mojego z nim spotkania się.«

Dotknięty taką odpowiedzią Awaryjczyk, nie mógł bez zhańbienia się nie przyjąć tego wyzwania. Przystąpił do młodego Bega, podał mu rękę i oświadczył, że z nim natychmiast iść gotów.

Gdy zwyczaj azyjatycki nie pozwalał Ammalatowi pożegnać się z córką swego przyjaciela, musiał poprzestać na tém, iż tylko tęsknem spojrzeniem na jéj okna, zadość uczynił sercu swemu. — Obadwaj myśliwi udali się do moszei, gdzie się już tłum ciekawych i sędziwi górale byli zgromadzili. Obyczajem zwykłym w Awarze przysięgli obaj na Koran, że, czyto w pogoni, czy w walce z tém dzikiém zwierzęciem, jeden drugiego nie odstąpi, i że tylko ze skórą tygrysią powrócą. Gdyby zaś któren nie dochował téj przysięgi, miał być jako nikczemnik i zdrajca ze skały w przepaść strącony. Mullah podał broń obu myśliwym, a ci śród życzliwych okrzyków puścili się w przepastne knieje gór kaukazkich.

Mija dzień jeden, mija i drugi. — Starsi patrzą na ścieżki do wsi wiodące, ale nadaremnie, — młodzież biegnie na wzgórza i wyséła wzrok dokoła, ale wzrok wraca bez żadnéj o strzelcach wieści! We łzach toną oczy Seltanetty. Za najlżejszym szelestem krew uderza jéj do twarzy, z bijącém sercem biegnie do okna — lecz nie widzi gwiazdy oczu swoich, załamuje z rozpaczy ręce i woła: »Ach, on już nie żyje! Wydali go na pastwę dzikiego zwierza!« — A kiedy już burza boleści w niéj przewichrzyła, zwiesiła głowę na piersi, a duże łzy, płynęły potokiem po jéj licu!

Dopiéro dnia trzeciego, na siłach wycieńczony, w podartych szatach, przywlókł się towarzysz Ammalata do wsi; z głodu i znużenia nie mógł i słowa przemówić. Gdy się cokolwiek posilił, opowiadał témi słowy:

»Już piérwszego dnia padliśmy na trop tygrysa; idąc długo za tym śladem, zastajem go nareszcie w krzaczystéj gęstwinie śpiącego w legowisku. Przez rzucenie losu, piérwszy wystrzał wypadł na mnie. Podchodzę, mierzę, strzélam i druzgocę mu jednę łapę; tygrys zrywa się rozjuszony i rzuca się na mnie z całą wściekłością; już czułem gorący wyziéw jego okropnéj paszczy i już leżę obalony na ziemię pod morderczémi jego pazurami, gdy oto w téjże chwili strzał pada, a ja okropnym rykiem tygrysa przygłuszony, utracam zmysły. Jak długo w tym stanie omdlenia zostawałem, tego nie wiém, ale gdym przyszedł do siebie i otworzył oczy, już było w około mnie pusto i głucho; niebo chmurami zasute, mżyło drobnym deszczem. Moja strzelba leżała tuż przy mnie krwią zbryzgana, strzelbę zaś Ammalata ujrzałem o podal na dwoje przełamaną, przy niéj tu i owdzie były krwi ślady. Wołam z całych sił mego towarzysza, ale nadaremnie, tylko przebudzone echo odpowiada smutno na moje wołanie! Zbiéram wszystkie siły, szukam śladów Ammalata, aby się zemścić lub umrzéć za niego, ale i téj pociechy losy mi zazdroszczą. Nikną mi ślady z przed oczu, chociaż je łzami zléwałem rozpaczy. Nareszcie gdy mię już wszelka odstąpiła

nadzieja, postanawiam wrócić do swoich, i głowę moję oddać ich wyrokowi. Oto jestem, przynoszę wam pod sąd głowę moję. Niech Allah oświéci was światłem swojém!«

Na te słowa powstaje powszechne szemranie; jedni usprawiedliwiają *uzdena*, lecz większa część potępia jego postępowanie. »Któż wié, czy się rzecz w istocie tak miała, jak on ją opowiada,« ozwało się kilka głosów. »Wszak on nie jest rannym? Zresztą opuścił swego towarzysza.«

»Może go nie tylko opuścił, ale nawet zdradził! Wszak w gniewie ztąd poszli.«

Nukierom Khana podejrzenie nawet tę myśl podawało: iż *uzden* zamordował Ammalata przez zazdrość. »On miał oko na córkę Khana,« głosiła służba młodego Bega, »a jéj lice uśmiéchało się tylko naszemu panu.«

Śród tych domysłów i zażaleń zjawia się sułtan Achmed na koniu pomiędzy tłumem wieśniaków i piorunującym odzywa się głosem: »Nikczemny tchórzu! Ty jesteś zakałą imienia Awaryjczyka! Teraz rzucą na nas Tatarzy to potępienie, że dajemy dzikim zwiérzętom rozszarpywać gości naszych, że nie umiémy ich zasłaniać własnémi piersiami. Gotuj się na śmierć! Jeźli w trzech dniach nie znajdziemy Ammalata, pójdziesz na pastwę szakalów, zrzucony ze skały w przepaście.«

Po tym wyroku zaprowadzono *uzdena* do stajni Khana, która już niejednemu Awaryjczykowi więzieniem była. Trzydziestu ludzi rozesłano na wszystkie strony, aby przynajmniéj pozbiérać kości Ammalata. Ciekawość skupiła tłum mieszkańców, a smutek rozpruszył je znowu.

Wkrótce ta wieść smutna doszła do komnaty i do serca Seltanetty. Ona już łez nie miała, żadna z ust jéj nie wyszła skarga; jakby niemy posąg, nie słyszała co się w około niéj działo; nie słyszała, gdy do niéj mówiła matka, nie widziała, że iskra z fajki ojca na jéj szatę padła, nie czuła, że wiatr wieczorny ziębił jéj łono; cała jéj dusza w jednéj tylko utonęła myśli, w ognisku tylko swego serca wszystko, wszystko zagrzebała! Córka Khana zniknęła przed kochanką Bega. Oddana nienstannym myślom o swojéj ciężkiéj stracie, wychodzi z domu w towarzystwie jednéj sługi Sekiny, i zwraca się ku brzegom rzéki Uzen.

O trzy *agatschos* na wschód od Khunzakh, stérczą puste zwaliska kościoła chrześcijańskiego. Czas i fanatyzm nie zniszczyły téj świątyni do szczętu, jéj kopuła wyrastająca ze zwalisk pośród gęstéj murawy, powiéwa chorągwią z powoju. Tu się udała Seltanetta. Cisza była dokoła, tylko w dali odzywał się strumyk srebrnym świégotem. Grusze z dojrzałémi owocami otaczały zapadającą świątynię. Aby narwać owoców, oddaliła się Sekina. Seltanetta została się sama z swoją boleścią. Długo stała z wzrokiem w dół wlepionym jak gdyby chciała zapytać ziemię: gdzie jéj kochanka ukryła; nagle podnosi głowę, krzyk zdziwienia wydziéra się z jéj piersi, widzi przed sobą mężczyznę, a na nim poda te i krwią zbryzgane szaty.

»Seltanetto! Nie poznajeż mnie twoje serce, i twoje oko? ja to, wasz gość,« przemówił obcy głosem wzruszonym.

Seltanetta uniesiona rozkoszą tego zdarzenia, rzuca się w objęcia Ammalata, a sparłszy główkę na jego ramieniu, wpatruje mu się długo w oczy, mówi do niego swémi jasnémi gwiazdami, bo usta oniemiałe odmawiają jéj wszelkiéj posługi; śmieje się i płacze w jednéj i téj samej chwili, jak gdyby rozum postradała. Młody Beg nie może znaleźć miary swojéj radości, bo chociaż Seltanetta milczy, i usta nie zdradzają tajemnicy serca, on ją przecież rozumi, on czyta w jéj sercu!

»Ty mię kochasz mój aniele!« woła głosem uniesienia, przyciskając ją do swojéj piersi. »Miłość twoja, jestto zdrój przyrzeczony przez proroka!«

Młoda dziewczyna zarumieniwszy się: że idąc za popędem piérwszego uczucia wykryła tajemnicę serca swego, wywinęła się z ramion kochanka i drżącym odrzekła głosem: »Allah niech będzie z nami! Miłość jestto okropne słowo! Zeszłego roku idąc przez wieś, widziałam, jak młodą dziéwczynę lud kamionował; uciekłam z przestrachu, ale krwawy obraz téj grzésznicy zawsze mię ścigał, zawsze zdawało mi się słyszéć jéj bolesne jęki! A gdym się zapytała, jaka jest jéj wina, że ją tak okrutną karano śmiercią, powiedziano mi: że jéj zbrodnią była miłość, którą powzięła ku młodemu mężczyźnie!«

»O, w błędzie jesteś mój aniele, miłość nie jest zbrodnią, ona jest świętym płomieniem, sama tylko miłość, która zdradza, jest zbrodniczą, dla takiéjto miłości ukamienowano owę dziéwczynę.«

Na tę rozmowę nadeszła Sekina, i wszystko troje wrócili do wsi, gdzie się już wieść o powrocie Ammalata była rozeszła. Achmed tém mocno uradowany, zażądał niecierpliwie wiedzieć przygodę, która się młodemu Beg wydarzyła. Jakoż ten zaczął témi opowiadać ją słowy: »Gdym widział, że padł mój towarzysz, strzélam do tygrysa i druzgocę mu szczękę; zwiérz z okropnym rykiem tarza się po zbroczonéj własną posoką ziemi. Nagle wlepiwszy we mnie pałające ślepie, zrywa się i rzuca na mnie z całą wściekłością, ja uderzam go

z wszystkich sił między ślepie strzelbą, i łamię ją na dwoje. Ogłuszony tém uderzeniem tygrys, zaczyna uciekać, ja gonię go; a gdy on coraz bardziéj ustaje na siłach, dopędzam go, i topię w nim ostrze mego sztyletu. Noc zapadła, musiałem szukać pomiędzy skałami legowiska; nie mógłem na chwilę zmrużyć oka, gdyż wycie szakalów budziło mię nieustannie. Nazajutrz tak gęste mgły zaległy ziemię, żem nic na dwa kroki nie widział przed sobą. Nie znając okolicy, błąkałem się przez dzień cały, i znowu mię śród debr i wądołów noc zabiegła. Byłato dla mnie noc okropna! Z brzaskiem dnia wzejszło słońce, a z niém wstąpiła i odwaga w duszę moję; zwróciłem się na Wschód, a wielki Ałłah sprawił, że idąc przez gęstwiny odwiecznych lasów, przyszedłem przed nocą do staréj świątnicy, gdzie nazajutrz jakby cudem proroka, Seltanettę znalazłem!«

Khan rozkazawszy wypuścić z więzienia *uzdena*, oświadczył Ammalatowi: że Dzambulat, sławny wojownik z małéj Kabardyi, przysłał gońca z wezwaniem: aby się razem z nim na wyprawę przeciw Rosyjanom połączyć. »Jutrzejsze słońce,« rzekł, »zastanie cię na koniu, w gotowym do boju rynsztunku.«

Seltanetta pobladła, i wpatrzyła się żałośnie w lice swego kochanka. »Ach, kiedyż te krwawe boje ustaną już w górach naszych!«

»Wtedy, kiedy woda dzikich potoków naszych, mlékiem płynąć będzie, a na nagich skałach naszych, migdały róść będą!« odpowiedział Khan w gniewie.

IV.

WYPRAWA NA ROSYJAN.

Rzéka Terek, wpadająca w Kaspijskie morze, rozgranicza rosyjskie posiadłości przy Kaukazie. Na prawym brzegu téj rzéki leżą wsi Kabardyńców, których mylnie mają za Czerkiesów, mieszkających po tamtéj stronie Kubanu, lub też za Czeczeńców, którzy na wschód ku morzu swoje siedziby mają. Kabardyńcy uznają tylko na pozór panowanie rosyjskie, i pod płaszczykiem poddaństwa, są dla Rosyjan tém niebezpieczniejsi. Onito zawiadamiają górali, podzielających z nimi jednę wiarę i jednakie obyczaje, o poruszeniach i stanowiskach wójsk rosyjskich, oni przechowują po swoich wsiach górali, którzy potém wypadłszy z swoich kryjówek, uderzają na Rosyjan, oni dostarczają im rosyjskiego prochu, nabywają od nich zdobyczy, a często i sami robią z nimi napadne wycieczki. Nieraz też korzystając z téj pozornéj z Rosyjanami zgody, używają jéj na to, aby wydrzéć góralom zdobycz. Wtedyto dla dopięcia swego zamiaru, nazywają się rosyjskiémi poddanymi, równie jak są przyjaciołmi Muzułmanów wtedy, kiedy z ich rabunków korzystać mogą. Na lewym brzegu rzéki ciągną się stanice (wsie) kozaków linijowych, potomków owych sławnych Zaporozców. Ci wpadają często w góry; rabunek jest ich rzemiosłem równie jak ich sąsiadów, od których się tylko długiémi brodami różnią. Są między stanicami kozaków niektóre osady chrześcijańskie. Te były celem częstych wycieczek górali. W r. 1819 w jesieni, połączyli się Kabardyńcy i Czeczeńcy, ośmieleni nieobecnością naczelnika wójsk rosyjskich, aby w 1500 ludzi uderzyć na te osady, zabrać wszystkich mieszkańców w łyka i wziąć łupem wszystek ich dobytek. Naczelnikiem Kabardyńców był Dżembulat. — Ammalat Beg okazawszy pismo od sułtana Achmeda, został od kabardyńskiego hetmana, otwartémi przyjęte ramiony, wszelako dla zniweczenia wszelkiéj zdrady, nie objawił mu Dżembulat, przez którą rzékę i gdzie przeprawiać się zamyśla. Po ukończonych przygotowaniach wyznaczył naczelnik wieś, w któréj się wszyscy towarzysze téj wyprawy zebrać mieli i wydał rozkazy, aby się w małych oddziałach tajemnémi drogi tamże udali. Z zachodem słońca byli już wszyscy na oznaczoném miejscu. Wieś obstawiono w około strażami, które odebrały nakaz, strzélać do każdego, ktoby się ze wsi chciał oddalić. Wielu uzdenów, towarzyszów téj wyprawy, zabawiało się po domach swoich krewnych i przyjaciół, Dżembulat zaś i Ammalat przepędzili noc całą pod gołém niebem przy ognisku obozowém; piérwszy zajęty był planami wyprawy, a myśli drugiego, ulatywały w góry awaryjskie — do Seltanetty!

»Będzieto zapewne rozprawa gorąca,« przemówił Dżembulat do młodego Bega. »Słyszałem, że pułkownik K* jest w pobliskości z wojskiem swojém.«

»Tém lepiéj dla nas; im większa liczba Rosyjan, tém więcéj ich padnie z naszéj ręki,« odrzekł Ammalat spokojnie.

»Gdzież chcesz walczyć? czy z piérwszémi oddziałami, które mają trzody zabiérać, czyli też ze mną w szyku odwodowym?«

»Tam gdzie największe będzie niebezpieczeństwo.«

»Zostań więc przy mnie i przy *Abrekach*.«

»Któż są ci Abrekowie?«

»Nasi najśmielsi, najwaleczniejsi jeźdcy. Oni zobowiązują się przysięgą na dwa lub trzy lata, żadnéj nie oddawać się ochocie, w walce nie oszczędzać życia, najmniejszéj mścić się obrazy, nikogo z rąk żywcem nie puścić, nikomu nie przebaczyć, choćby on był przyjacielem lub

bratem, cudze dobro sobie przywłaszczać, słowem, wojnę krwawą wydawać całemu rodzajowi ludzkiemu. Ci, którzy się uroczystą przysięgą na takie życie skazują, zowią się Abrekowie. Niebezpieczna jest sąsiadować z nimi, a roztropność nakazuje, przy spotkaniu się z nimi na gościńcu, mieć zawsze kurek odwiedziony.«

»Cóż może *uzdena* skłonić do tak rozpaczliwego przedsięwzięcia?«

»Ubóstwo, chęć wsławienia się odwagą, lub inne jakie wielkie nieszczęście...« Ale patrz! coraz więcej rozściela się mgła nad rzeką Terek, czas wziąć się do roboty.«

Dżembulat dał znak piszczałką; długo-wlekły gwizd przeszył powietrze, na co wszystkie obozowe czaty, tymże samym znakiem odpowiedziały. Za kilka chwil zebrali się wszyscy górale i byli w pogotowiu do wyruszenia. Po krótkiej naradzie: w którém miejscu przez rzékę przeprawić się mają, puścił się cały hufiec ku brzegom rzéki w jak największém milczeniu. Konie naśladowały swoich jeźdców, żaden ani zarżał ani dźwięknął kopytem. Stają nareszcie nad brzegiem, woda od strony góry, była płytką, jednakże, aby nie zwrócić baczności Kozaków, oddział jeden przeprawił się nieco powyżéj przez rzékę, jedni poszli w pław, drudzy nie ufając swoim koniom, powiązali im do nóg przednich wzdęte powietrzem wojłoki. Wzdłuż lewego brzegu rzéki ciągną się majaki (strażnice), na każdym pagórku sterczy żerdź z smolną baryłką i słomą, którę podpalają, jeżli czaty linijowe trzeba ostrzedz o jakiéj trwodze. Pomimo to wszystko pod zasłoną nocnéj mgły przemykają się nieraz górale pomiędzy straże jak woda przez sito. I tym razem udało im się ujść baczności czat rosyjskich. Po kilku Kabardyńców przesunęło się z-cicha po-przed posterunek kozacki. Postanowili oni piérwsze dwie najbliższe straże ominąć; sprzątnąć je cokolwiek później, wziął sam Dżembulat na siebie. Zatrzymał się więc w tym zamiarze nad brzegiem rzéki na wzgórku i rozkazał jednemu z towarzyszów podléźć aż za żerdź z smolną beczułką, a potém sto kroków odliczywszy, skrzesać kilka razy ognia. Kozak, który leżał na ziemi przed żerdzią, trzymając lont w jednéj, a cugle w drugiej ręce, obejrzał się; ujrzał iskry. Gdy się krzesanie ognia ponowiło, porwał się i wpatrzył w to miejsce, gdzie mu skry błyskały, i właśnie gdy się namyśla, czy to nie są znaki Czeczeńców, które im służą za wskazówkę w nocnéj wędrówce, Dżembulat korzysta z jego namyślenia, podchodzi zbliska, i ciska mu z całéj mocy w samę pierś sztylet. Kozak ostro ugodzony pada wznak i kona nie wydawszy jęku. Śpiący towarzysz jego kończy również śmiercią nagłą.

Na znak umówiony zebrali się górale w jednę kupę, i rzucili się cwałem na wieś, którę za cel swego rabunku obrali. Wieśniacy tak niespodzianie napadnięci, słaby tylko stawili opór; ci, którzy zbrojną ręką usiłowali napad odeprzeć, jedni w pień wycięci, drudzy w niewolę zabrani; mała tylko liczba ratowała się ucieczką. Kabardyńce włamują się w domy, unoszą z sobą wszystko co kosztowne, lecz żadnéj innéj nie czynią szkody; nie tratują zboża po łanach, nie niszczą winorośli po wzgórzach, nie palą domów: bo Azyjata szanuje dary Boga i pracę człowieka. — Zdobycz była znaczną. W niespełna godzinie całą wieś zrabowano. Tym czasem kilka zwinnych górali otoczyło tabun koni, które się na stepie pasły, kozaka-pastucha wzięto w łyka, a konie pognali wprost ku rzéce, strzélając na wiatr z strzelb i pistoletów. Czerkies na dzielnym koniu prowadził cały tabun; cwałem pędziła wiatronoga chmura latawców aż ku temu miejscu, gdzie Terek pieni się o wysokie brzegi. Tu, za przykładem konia Czerkiesa, cały tabun rzucił się w pław i trzymając nozdrza w powietrzu, płynie ku drugiemu brzegowi rzéki.

Na dane hasło o napadzie górali zajaśniały wzdłuż całej linii granicznéj ognie strażnicze. Z brzaskiem dnia zaczęło się niebo wyjaśniać. Górale puścili się w nieładzie ku rzéce, tamowani w pośpiechu przez jeńców i trzody. Naraz, ukazują się w dali Kozacy i czynią za krzakami zasadzkę. Niebawem rozpoczynają ogień karabinowy z wysłanym przeciw nim oddziałem górali. A gdy część trzody już się była na tamtą stronę rzéki wydostała, wznosi się nagle pyłu chmura, wzbita kopytami hufcu Kabardyńców. Sześćset górali pod dowództwem Ammalata i Dżembulata, goni na spotkanie się z nieprzyjacielem, aby go dopóty wstrzymać, aż dopokąd reszta górali wraz z trzodami na drugą stronę rzéki się nie przeprawi. Obyczajem azyjatyckim przygoniwszy na dwadzieścia kroków do rosyjskiéj konnicy, wystrzeliwszy w cwale nabite strzelby i zawiesiwszy je na plecach, lecą obces z dobytą szablą. Kozacy znając ich podstępy, dawszy ognia z karabinów, uciekają w najtęższym pędzie. Górale rozochoceni tym wypadkiem, pędzą ku strzelcom 43. pułku, który się w dali pod laskiem był rozłożył, lecz nagle jakby z ziemi wyrastają rosyjskie pułki w czworoboki ustawione i sypią ogień morderczy na górali. Ci bynajmniéj tém nie ustraszeni, zsiadają z koni i usiłują zająć gęstwinę, aby na Rosyjan z tyłu uderzyć, lecz nagle odsłonięte z téjże strony działa, sieją śmierć i zniszczenie kartaczami. Trupami zasłana ziemia, między góralami powstaje nieład i zamieszanie. Nadaremnie jak lwy walczą Ammalat i Dżembulat, dwadzieścia razy nacierają górale z całą wściekłością, i tyleż razy wstecz rzuca ich siła przemagająca; z całém wysileniem waleczności swojéj nie mogą się przebić przez czworoboki rosyjskie. Wycieńczeni na siłach, ale nie pokonani w waleczności, opuszczają plac boju i z stema jeźdcami idą w pław przez rzékę. Na drugiéj stronie rzéki zsiadają znowu z koni i rzęsistym miotają ogniem na przeciwną stronę, aby zasłonić odwrót krajowców swoich. Oddani z żarliwością téj walce, postrzegają za późno, że Kozacy przeprawiwszy się przez rzékę powyżéj ich stanowiska, otaczali ich dokoła. Niebawem otoczeni ze wszech stron górale, nie mieli innéj nad śmierć nadziei!

W tak rozpaczliwéj chwili mówi Ammalat do swego towarzysza: »Mnie żywcem nie dostaną, jakież twoje Dżembulat postanowienie?«

»Sądziszże, iż moje ręce stworzone na to, aby dźwigały kajdany?« odrzekł dumnie naczelnik.

»Bracia!« zawołał Ammalat. »Jestże kto między nami, którýby przenosił niewolę nad śmierć waleczną?«

»Umrzeć, umrzeć z bronią w ręku, to nasze hasło!« głośnym zawołali chórem.

To mówiąc przebijali sztyletami konie, aby się nie dostały w ręce Rosyjan, a wzniosłszy mur z trupów końskich, oczekiwali nieprzyjaciela. Kozacy, obawiając się rozpaczliwéj walki, strzymywali się, aby się przygotować do natarcia. Niejedna kula armatnia wysłana z przeciwnéj strony rzéki, wpadła w sam środek téj garstki bohatérów, ale żaden nie ruszył się z swego stanowiska. Naraz wszyscy smutnym głosem wznieśli pieśń żałobną.

Sam nieprzyjaciel zdumiał się nad takiém męztwem. Nareszcie z okrzykiem: »hurra!« uderzyli Kozacy na górali. Ci dawszy poraz ostatni ognia, roztłukli strzelby o kamienie, i z pałaszem w ręku rzucili się z wście-

kłością na Rosyjan. Abrekowie powiązawszy się pasami w jednę długą liniję, uderzyli śród okrzyków wojennych na nieprzyjaciela. Żaden nie prosił o życie, wszyscy legli pod rosyjskiémi bagnetami. Ammalat, raniony w głowę, padł na stos trupów swoich ziomków.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* pod redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 1. i obejmuje: 1) Wstęp. 2) Uwagi Antoniego Mysłowskiego nad handlem zbożowym z Galicii do Odessy, i nad zaprowadzeniem żeglugi parowej na Dniestrze; — i Nr. 2. zawiérający: Uwagi Antoniego Mysłowskiego nad handlem zbożowym z Galicii do Odessy, i nad zaprowadzeniem żeglugi parowéj na Dniestrze (ciąg dalszy). 2) Katechizm dla sadowników.

Z Krakowa. Nakładem księgarni Józefa Cypcera wychodzi w poszytach dzieło: *Groby i pomniki królów, oraz sławniejszych mężów polskich w świątyniach krakowskich,* zebrane i odrysowane przez Alexandra Płonczyńskiego. Poszyt piérwszy prócz textu obejmuje 3 starannie w Wrocławiu litografowane tablice, przedstawiające: 1) Pomnik Władysława księcia z familii Piastów, w kościele OO. Franciszkanów w Krakowie. 2) Pierwotny pomnik Leszka czarnego w kościele OO. Dominikanów. 3) Pomnik Leszka czarnego (późniejszéj struktury) w kosciele OO. Dominikanów. — Tamże wyszła w tłoczni uniwersyteckiéj: *Grammatyka praktyczna języka polskiego,* przez Józefa Muczkowskiego, Oddział I. W drukarni zaś Józefa Czecha: *Dzwon, Rezygnacyja,* dwie pieśni Fryderyka Szyllera, tłumaczył A(dam) G(orczyński?), oraz: *Przeszłość i teraźniejszość,* prolog wiérszem (na otwarcie teatru krakowskiego) przez autora komedyi Rej z Nagłowic (K. Majeranowskiego). — Księgarnia Stanisława Gieszkowskiego zajmuje się ogłoszeniem *Dykcyjonarza biblijnego* w 4 tomach, przełożonego jeszcze r. 1810 przez ks. Tadeusza, prowincyjała Kapucynów, na polski język z włoskiego ks. Prospera de Aquila.

Wzrost Rossyi. Państwo to nabyło z ziemi niegdyś szwedzkiéj tyle, jak całe teraźniejsze królestwo szwedzkie, na Polsce zaś tyle, jak całe cesarstwo austryjackie. Z Turcyi europejskiéj powiększyła się Rosyja o taki obszar ziemi, jak całe królestwo pruskie z przyłączeniem prowincyj reńskich; z Turcyi azyjatyckiéj nabyła tyle ziemi, ile mają rozległości wszystkie państwa mniejsze europejskie razem wzięte. Z Persyi nabyła taką przestrzeń, jak cała Anglija. Posiadłości jéj w Tartaryi są tak rozległe, jak Turcyja europejska, Grecyja, Włochy i Hiszpanija razem wzięte. Rosyja powiększyła się w ciągu 64 lat ostatnich o drugie tyle, ile przed lat 64 w Europie posiadała. Granica rosyjska pomknęła ku Berlinowi, Dreznu, Monachium, Wiédniowi i Paryżowi bliżéj 700 mil ang. (100 niemieckich), ku Konstantynopolu o 500, ku Stockholmie o 630, a ku Teheranowi o 1000 mil ang.

Książę Józef Poniatowski, którego nadzwyczajny talent muzykalny obudził podziwienie w całych Włoszech, przepędzi tę zimę w Paryżu, gdzie go najświetniejsze czeka przyjęcie. Ten młody 28letni książę śpiewa jak Rubini, a komponuje jak Donizetti. Zwykle przebywa on w Florencyi, na wszystkich prawie teatrach włoskich oklaskiwano jego opery. W piérwszych dniach grudnia z. r. dawano w Rzymie w teatrze Argentino najnowszą jego operę: *Bonifazio de Geremei.* Te same hołdy powtarzały się przy dwóch następujących przedstawieniach. Podczas téj opery był 48 razy przywołany, a w końcu uwieńczony. —

Parowe i żaglowe statki Francyi i Anglii. Statki morskie wojenne Anglii i Francyi przechodzą co do liczby i siły, floty wszystkich państw morskich. Francyja ma teraz 113 zbrojnych okrętów parowych o sile 32,170 koni, Anglija zaś 88 statków parowych o sile 20,000 koni. Francyja przechodzi Angliję nie tylko w uzbrojeniu okrętowém, ale i w sile parowéj. Należy jednakże pamiętać, że Anglija na przypadek wojny może miéć 800 okrętów parowych na swoje rozkazy, jeźli zważymy obowiązki, jakie w téj mierze ciężą na wszystkich pocztowych i handlowych statkach angielskich. Na warsztatach okrętowych test teraz właśnie we Francyi 23 linijowych okrętów o 90 do 120, a 20 fregat o 45 do 60 działach. W portach angielskiéj admiralicyi rozpoczęto budowę 11 linijowych okrętów, a 10 fregat. Czynna témi czasy flota francuzka składa się z 181 okrętów, mianowicie: z ośmiu linijowych, 16 fregat, 22 korwet, 31 brygów, 72 sloop przewozowych i ładownych okrętów, 32 okrętów parowych. W głównych portach morskich stoi całkiem uzbrojonych 12 linijowych i 1 fregata.

Wyszczególnienie naszego ziomka Zawadzkiego, znanego badacza natury. Baron Dejean, feldmarszałek i par Francyi, w dziele swojém w Paryżu wydaném, opisał chrząszcza, przez uczonego profesora Zawadzkiego w górach karpackich odkrytego, przyłączył doń rysunek, i dał mu nazwę: *Abax Zawadzkiana.* — A na ostatniém zgromadzeniu badaczów natury i lekarzów, w Gracu w miesiącu wrześniu odbytém, gdzie się i nasz Zawadzki jako reprezentant naszego kraju w dziedzinie botaniki i zoologii znajdował, pokazywano nowo odkrytego chrząszcza z gór bałkańskich, którego Dr. Trydwaldzky, kustosz przy muzeum narodowém w Peszcie, nazwał: *Saperda Zawadzkiana,* w nagrodę zasług naszego ziomka.

Friszkoff. Anglik Slade opowiada: że w Rosyi przez czas długi były bandy zbójeckie, wynoszące 300 do 400 głów, niedawno dopiero zniesiono i wyniszczono je do szczętu. W okolicy Smoleńska osławił się herszt jednéj bandy, nazwiskiem Friszkoff. Ten pisze raz do pewnego majętnego obywatela i żąda 20,000 rubli, dodaje oraz, że sam po nie nazajutrz wieczorem przybędzie. Obywatel po dojrzałéj rozwadze poseła do najbliższéj załogi o pomoc, wyłuszczając to, co zaszło. Jakoż nazajutrz przy odgłosie bębnów wchodzi do wsi oddział z dwudziestu żołniérzy z pod-porucznikiem na czele. Obywatel przyjmuje ich jako swoich zbawców otwartémi ramiony i ugaszcza jak najhojniéj. Po sutém śniadaniu rzecze oficer: »Mam polecenie działać według rozkazów pana. O cóż właściwie chodzi, opowiedz pan.« Obywatel opowiada wszystkie szczegóły swojéj przygody. »Maszże pan gotówką te 20,000 rubli?« pyta oficer. »Mam je,« rzecze obywatel. »Témci lepiéj,« nie potrzebuję czekać do wieczora, gdyż jato jestem — Friszkoff, a to są moi towarzysze.« Szlachcic chcąc nie chcąc musiał być powolnym hersztowi rabusiów.

Jak ma sobie postępować lékarz przyboczny przy łożu chorego cesarza chińskiego. Jeźli najwyższą z istot ziemskich jaka niemoc owładnie (że cesarz chiński kiedy na prawdę zasłabnąć lub umrzéć może, nie wolno o tém ani wspomniéć pod karą śmierci), ma się lékarz przyboczny udać natychmiast do pałacu, przystąpić do łoża władcy, upaść na ziemię i w czterogodzinnej modlitwie dzięko-

wać Bogu, że najniegodniejszego sługę obdarzył szczęściem oglądania Cesarza na wysokiéj pościeli. Po skończonéj modlitwie prosi o to uszczęśliwiające pozwolenie: dotknąć się końcami palców najdostojniejszego pulsu. Potém ma się znowu rzucić na ziemię, i, jeszcze gorliwiéj i dłużéj modlić się za to niewypowiedziane szczęście, którego został uczestnikiem. Skoro się podniesie z ziemi, uprasza największy majestat świata, aby mu wolno było, oglądnąć — język. W téj chwili, gdy Cesarz na to zezwala, zostaje lékarz właścicielem dwóch lub trzech wsi chińskich, a gdy Cesarz na prawdę język wystawi, zostaje lékarz w miarę długości języka, który na widok wystawić raczył, *kuo-i-wen, ka-vo-i-ti* lub *ka-wen-ti-ti,* co tyle znaczy, jak u nas hrabia, książę lub wojewoda. Teraz dopiéro wolno lékarzowi, podawać choremu Cesarzowi lékarstwo. Jeźli choroba prędko ustępuje, dostaje lékarz wór pereł, jeźli zaś zwolna, to się daje lékarzowi do poznania: że z nadzwyczajnéj łaski, nadzwyczajne dostanie — kije; jeźli zaś znacznie choroba się pogorszy, lub jeźli Cesarz gada w gorączce, wtedy bywa lékarz jako czarownik — ścięty. Jeźli Cesarz umrze, wtedy cała rodzina lékarza aż do najdalszéj linii pokrewieństwa, musi podobną ginąć śmiercią. Jeźli zaś Cesarz wyzdrowieje, wtedy może lékarz całą prowincyję żądać w nagrodę swoję. Ale nigdy nie wolno lékarzowi powtórnie léczyć swego wszechmocnego władcy jeźli w chorobę znowu zapadnie. Przypuszcza się bowiem: że już przy piérwszéj niemocy całą swoję mądrość wyczérpał; dla tego nowéj potrzeba głowy, niewypróżnionéj jeszcze z mądrości. (Wyjęto z dzieła: *Doings in China. By Alexander Murray. T. II.*)

Dagerotypia kontrolą kasy teatralnéj. Na tem doświadczeniu: że światło lampy do uzyskania dagerotypów użyte być może, oparł pewien Północno-Amerykanin swój bardzo korzystny dla dyrekcyi teatrów wynalazek, potrącony do tego nieufnością dwóch dzierżawców wielkiego teatru w Nowym-Yorku ku swoim kasyjerom. W miernem oddaleniu od lampionów spuścił on z pułapu teatru na czterech żelaznych prętach maszyneryję, zawierającą wszystko, co w miarę wielkości tego teatru, do aparatu dagerotypowego potrzebne było. W chwili, kiedy kierujący tą maszyneryją spostrzega, że jaka scena zajmuje szczególniéj uwagę publiczności, wystawia on za pociągnięciem sznura ukrytą dotąd płytę jodową na działanie promieni światła; za kilka sekund wyjmuje płytę, na któréj odwzorowany jest parter w dalowidni ze wszystkiemi głowami widzów, daléj loże, nakoniec galeryje w kolejnych odstankach, z najwierniejszém ugrupowaniem głów wszystkich. To zdejmowanie dagerotypu z widzów, ponawia się w każdym akcie według okoliczności i po kilka razy. Poczém odwzory te kładzie się do zamkniętego futerału i przeséła się dyrekcyi teatru, która mając taką kontrolę, może z kasyjerami ścisły robić obrachunek. — Słychać, że dyrektorowie mieli zamiar, umieścić podobny aparat za kulisami i nad sceną, aby kontrolować grających, ale zamiar ten rozbił się o delikatność kobiecą, artystki bowiem uniosły się na to tyrańskie śpiegostwo najżywszym gniewem, i oświadczyły z oburzeniem: że wolą raczéj porzucić scenę, niż tak niebezpiecznéj poddać się kontroli. — —

Od drugiéj połowy 17. aż do końca pierwszéj połowy 18. wieku, zaczęto sprowadzać do Polski Francuzów i Francuzki z Paryża na ochmistrzów i ochmistrzynie dla dzieci. Wkrótce w Warszawie, Lwowie, Wilnie i Krakowie wzmogła się taka liczba Francuzów, że potrzeba było odprawiać osobne dla nich nabożeństwo i mieć po francuzku kazanie. Pasek, z czasów Jana Kazimierza, mówi: »Więcéj ich (francuzów i francuzek) w Warszawie, niżeli owych, którzy cerberowe rozdymają ognie! Do pokoju królewskiego wnijść zawsze wolno Francuzowi, a Polak musi i pół dnia stać u drzwi. Okna zamku Warszawskiego zasłaniają perukami swémi Francuzi. Nié ma tego domu z dobrym tonem, w którymbyś Francuza lub Francuzki nie natrafił. Paryż, jakby uderzony laską czarnoksięzką, przeniósł się teraz na łono całéj Polski, i dokonywał na narodzie morderstwa moralnego! Francuzi przybywający do Polski, sąto same awanturniki lub nieuki, bo inaczéj znaleźliby w własnym kraju szérokie pole do karjery. O umiejętności i naukach nie mają ani wyobrażenia; nieraz czytać i pisać uczą się dopiéro w Polsce. Ale dość im na tém; bo u nas mówią: Sąto ludzie nader uczeni, gdyż mówią po francuzku tak wybornie, a przytém tyle mają sprytu i dowcipu! Paplanie po francuzku jest jedynym znakiem wyższéj oświaty. O umiejętności nikt nie marzy; błyszczenie w salonie, zewnętrzna ogłada i piękny taniec, zajmują miejsce nauki! — Kołłątaj zaś charakteryzuje czas ten w następnych wyrazach: »Gardził magnat nie mówiącym po francuzku Polakiem; oszukiwał i kłócił magnatów przebiegły w złéj łacinie jurysta; był ofiarą wzgardy i podstępu ten, co ani po francuzku nie mówił, ani jurystycznéj łaciny nie znał.« — —

Na dworze Zygmunta starego szczwanie niedźwiedzi bardzo ulubione było. Jednego razu przy téj zabawie w Wilnie, psy bardzo okarmione, niedźwiedzia brać nie chciały. Król się gniewał. »Każno królu,« rzekł Stańczyk, błazen króla, »spuścić na niego swoich pisarzów, oni żeby się najwięcéj obżarli, zawsze dobrze biorą.« Wiadomą jest rzeczą, że za czasów Zygmunta za każdy przywilej z kancelaryi królewskiéj i za każdy list królewski, musiano dobrze płacić. — Stańczyk często w stroju dziwnym szachowym przechadzał się po ulicach Krakowa. Chłopcy uliczni biegali za nim, i krzycząc, skubali i wyśmiéwali go. Raz nawet z opończy go odarli. Za powrotem do zamku, król śmiał się z Stańczyka, że się dał obedrzéć ulicznikom. »Ciebie królu« odpowiedział, »gorzéj obdarto, zabrano ci Smoleńsk, a przecież milczysz.« — —

Najpierwsza szkoła w Polsce, powstała w Smogorzowie, założył ją r. 1005 Urban, biskup wrocławski, rod. Włoch.

Dowcipna obrona. Chemik Ganual w Paryżu, wynalazca nowéj metody balsamowania, który na to wyłączny przywiléj uzyskał, zaskarżył niedawno pewnego lékarza przed sądem: że tenże naśladuje jego sposób balsamowania. Adwokat chemika, Emanuel Arago, zbijając zarzuty lékarza, rzekł między innémi te słowa: »Pan twierdzisz, że pan Gannal nie ma prawa balsamować umarłych, bo nie jest ani lékarzem, ani chirurgiem. Tylko się nie gniewajcie moi panowie lékarze! Pan Gannal nie wciska się bynajmniéj do waszego zawodu. On wtedy przychodzi do waszych klientów, kiedy ci waszéj pomocy już nie potrzebują. Zróbcie tylko, aby z waszych klientów mniéj umiérało, on się nie uskarży, że mu zmniejszacie zarobku. Moi panowie lékarze, wy jesteście artystami; pan Gannal zaś, jako balzamujący trupy, jest tylko rzemieślnikiem, on dzieła waszéj sztuki, oprawia w ramy!

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.